

O badaniu życia codziennego

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

O BADANIU ŻYCIA CODZIENNEGO

Bolesław Prus

Najlepszą filozofją życia jest połączenie wesołego żartu z pobłażliwą wzgardą. *Chamfort.*

W poprzednim rozdziale okazałem ci, że jedną z przyczyn ludzkich niepowodzeń są złudzenia, pochodzące stąd, że mało znamy życie. Obecnie wypada mi zastanowić się nad naturą i ważnością badań życia codziennego, badań, które ci tak gorąco zalecałem i zalecam.

Aby poznać swój przedmiot, chemik potrzebuje retort, odczynników, wazek i tygielków, — astronom teleskopów, zegarów i mnóstwa innych narzędzi; dla człowieka chcącego zbadać życie codzienne, wystarczą zmysły, trochę uwagi i pamięci i szczypta zdrowego rozsądku. Szukając materiału dla siebie, naturalista wdrapuje się na szczyty gór, zstępuje do głębi kopalń, zwiedza pustynie i oceany; człowiek praktyczny przedmiot swój ma pod ręką, a im lepiej chce takowy poznać, tem rzadziej myśl jego wybiegać musi za obręb codziennych stosunków.

Jeżeli więc chcesz być człowiekiem praktycznym, obserwuj przede wszystkim to, co się dzieje w tobie i koło ciebie, niczego nie lekceważąc. Dopiero na tej drodze poznasz masę faktów i fakcików, stosunków i stosuneczków, stanowiących życie codzienne. Jeżeli zaś zniechęcisz się kiedy i spytasz: naco mi się to przyda? przypomnij sobie następującą historję:

— Naco mi się to przyda!... — wołał z płaczem Wojtuś, którego ojciec, organista, batogiem zapędzał do organów i kantyczek. Tępo też szły studja i pierwej Wojtuś został Wojtkiem nim grać się nauczył; śpiewał tylko jako tako z podartej książeczki. Niedługo stary zmarł, a proboszcz głupiego Wojtka wygnał z plebanji i nowego przyjął organistę. Dziś chodzi nieborak ode wsi do wsi, z odpustu na odpust, śpiewając przez nos wedle reguły ojcowskiej i często sobie powtarzając: „Oj! pocom ja biedny sierota grać się nie nauczył!...”

Wynika stąd bardzo piękna sentencja, ta mianowicie, że wszystko się przydaje na tym bożym świecie, nawet to, do czego niekiedy najmniej mamy ochoty.

„Sercem ukochany wnuku mój — pisała pewna babka — ucz się, albowiem lepiej być ślepym niż głupim, pilnuj swoich rzeczy, bo kijem tego, co nie pilnuje swego i zwracaj baczną uwagę na wydatki, albowiem jest napisano: pamiętaj rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie. Z uwagą też ludziom się przypatruj, bo mówi przysłowie: zjesz pierwej beczkę soli, nim poznasz człowieka, — a nadewszystko zdrowia nie zaniedbuj, bo niejedyn już powtarzał razem z poetą:

Szlachetne zdrowie! Nikt się nie dowie Jato smakujesz, Aż się zepsujesz...

„Gdy rozmawiasz, bacz na słowa twoje, bo znać z mowy, jakiej kto głowy. Unikaj złych zebrań, bo z kim się wdajesz, takim się stajesz, ale bywając w jakimś towarzystwie, poznaj je i stosuj się do niego, albowiem wszedłszy między wrony, krakaj jak i ony.

„Różnych ludzi napotkasz w świecie i ciebie samego różne napotkają przygody, nigdy jednak nic i nikogo nie chwal i nie gań zbyt prędko, bo mówi przysłowie: łącno błądzi, kto skwapliwie sądzi. Nie zważaj również na drobne ludzkie ułomności, albowiem kayda?dy dudek ma swój czubek.

„Dbaj o czystość ciała i ubioru, bo jak cię widzą, tak cię piszą — i staraj się być dla każdego uprzejmym, bo pokorne ciele dwie matki ssie; inaczej postępując, zniechęcisz ludzi do siebie, a przecież ręka rękę myje, noga nogę podpira!

„Nigdy nie zaniedbuj spraw drobnych, bo ziarno do ziarnka, zbierze się miarka, nie porzucaj małych korzyści dla wielkich nadziei, bo lepszy zajac w miechu, od niedźwiedzia w puszczy — i nie zakładaj sobie zbyt obszernych planów, aby nie powiedziano: chciał Kuba zostać panem i został gałganem.

„Gdy spać idziesz, zwiń sobie papiloty, albowiem białogłowy k'sobie nęci, komu się włos kręci, (ja sama nawet dla kręconych włosów poszłam za twego nieboszczyka dziadka); staraj się też o łaskę płci naszej, pamiętaj, że gdzie djabeł nie może, tam babę pośle. Po pacierzu zaś przypominaj sobie zawsze wypadki z dnia całego, bo ten w drodze nie szwankuje, kto dobrze woza pilnuje.

„U nas nic nowego — słoty tylko i słoty, zwyczajnie w marcu jak w garcu; palimy też sobie na kominku i przypominamy lepsze czasy: przypomniła sobie babka, kiedy panną była. Roboty jest dosyć, bo każda Teresa ma swoje interesa, a że siły nie starczą, ponieważ i dąb na starość skrzypi, więc i kłopotów coniemiarą; albowiem kto nie domierzy okiem, dopełni workiem. Ciocia Basia posyła ci sakiewkę: dobry mieszek za grosz, gdy w nim dukat siedzi; ciocia Rózia książkę do nabożeństwa: kto z Bogiem, Bóg z nim; ciocia Femcia placki i makagigi: dobra psu i mucha; ciocia Zosia trzy pary wełnianych skarpetek: lepiej dmuchać niż chuchać, — ja zaś daję ci moje błogosławieństwo i cztery czepki nocne i zaklinam, abyś zawsze w nich sypiał: kto nie słucha ojca, matki, — ten słucha psiej skóry. Pamiętaj tedy o tem, moje dziecko, i przyjeżdżaj na święta choć droga fatalna, albowiem niema złej drogi do mojej niebogi.”

Chciałem ci posłać wyjątki z listu pocziwej kobieciny, alem się rozpędził i cały przepisałem; mniejsza o to, nic nie stracisz, odczytawszy go uważnie, list ten bowiem jest typem owych ustnych i piśmiennych kazań, jakie wam wszystkim rodzice, ciotki, babki i wujowie wypowiadają przy każdej sposobności. „Pilnuj siebie i swego mienia, zwracaj uwagę na ludzi i wypadki, szanuj zdrowie i t. d.” Oto są rady zbawienne, które jednym uchem przyjmujecie, drugim wypuszczacie; a przecież na tych drobiazgach opiera się spokój i szczęście człowieka, jak ci tego następująca historia dowiedzie.

Krewny nasz, Franciszek, jeszcze w uniwersytecie będąc, z niedbalstwa i nieuwagi słynął. Jeżeli pożyczal od kogo pieniędzy (a trafiało mu się to bardzo często), naznaczał termin zwrotu prawie co do godziny i minuty, lecz nie pomyślał, skąd weźmie fundusów w dniu owym. Jeżeli wybierał się do kogoś z odwiedzinami, zawiadamiał o nich na kilka tygodni przedtem, lecz często obiecywał być w jednym czasie u osób w różnych punktach mieszkających, a najczęściej do żadnej nie poszedł. Miał wielu znajomych, o których nazwisku ani położeniu towarzyskiem nie wiedział, a trafiało się również, że swoich kolegów i krewnych, a nawet rodzonej matki na ulicy nie poznawał. Słowem, był roztargniony jak niewielu.

Kto chodził w jego koszulach, czyjemi chustkami on sam nos ucierał, o tem ani jemu, ani nikomu wiadomo nie było. Cóż dopiero mówić o jego zniszczonym i poplamionym surducie, poczochranej głowie, niesymetrycznych butach i spodniach, które ząb czasu dezelowal we wszystkich kierunkach!

To też sarkal ciągle biedak na świat i złe losy, czemu się nie dziwie, ponieważ z powodu niedbalstwa i nieznamomości stosunków ludzkich, nieustannie doznawał zawodów, a z drugiej strony nie badając życia, nie umiał wykryć prawdziwej przyczyny złego.

Raz np. nastęrczono mu dobrą korepetycją w pewnym bardzo dystygowanym domu. Skakał Franuś z radości, bo był goły jak węgorz, — skakali przyjaciele i powinowaci, bo był im winien kupę grosza. Trzy dni trwało wesele, rosły projekta, rozchodziły się pieniądze na rachunek przyszłych zbiorów, — czwartego dnia złożył Franuś owym państwu wizytę, po której struty do domu wrócił, milcząc jak ryba i nawet nie imając się fajki, zwykłej pocieszycielki utrapionych. — Co ci to Franuś? — mówi jeden.

— Czy cię puścili w trąbę? — pyta drugi.

— Możesz się zakochać? — dodaje trzeci.

— No! — woła czwarty — odpowiadaj, czyś zgłupiał?

— Wszystko jest marność! — westchnął Franciszek i legł na- łożko z miną człowieka, któremu to tylko pozostaje do zrobienia. — Los mnie prześladuje — szepnął po chwili i oczy zamrużył.

— Cóż się więc stało? — pytają chórem koledzy i razem wierzyście.

— Ha, cóż — odpowiada nasz kuzyn — nie mam lekcji, bo ci państwo już korepetytora nie chcą!...

Jaki taki ze słuchaczy w głowę się poskrobał, ale rady nie było. Tymczasem rzecz miała się, jak opisano niżej:

Zaledwie Franuś wszedł w progi swoich domniemanych chlebobawców, wnet do interesu przystąpił i układy o lekcję rozpoczął, — i z kim? oto z lokajem. Ów rozweselony mocno, wiedzie Frania do państwa, u których było parę osób z wizytą. Franuś, nie tracąc miny, kłania się tak, jakgdyby chciał wytrzeć obuwie o posadzkę, rzuca czapkę na stół między sztuczne kwiaty i szklane fatałaszkę, siada na krześle w sposób, który odrazu wykrył wszelkie niedokładności jego garnituru i zaczyna rozmowę w ten sens:

— Słyszałem, że państwo potrzebujecie tu korepetytora?... A gospodarz na to:

— Najmocniej przepraszamy łaskawego pana za zawód, ponieważ prawie w tej chwili zdecydowaliśmy się korepetytora nie przyjmować;

— No! więc już nie jestem potrzebny — rzekł nasz kuzyn, biorąc do ręki czapkę.

— Z prawdziwą przykrością... — bełkotał gospodarz i odprowadził do drzwi Franusia, który wielką swoją finansową klęskę przypisał zawziętości losu, zamiast obwiniać o nią lichą garderobę, paskudny ukłon i całe swoje ordynaryjne obejście się z ludźmi.

Tak regulował swoje interesa ten fenomenalny, a skądinąd pocziwy i pracowity chłopiec i było mu źle przez cały ciąg uniwersyteckich studjów. Lecz, że wszystko mija na tym świecie, skończyły się więc i jego nauki, a z niemi razem i życie knajpiarskie; wkrótce też dostał nasz kuzyn posadę nauczyciela przy gimnazjum w X., dokąd niebawem wyjechał i skąd ani jednego listu już do mnie nie napisał. Upłynęło lat sześć.

W owej epoce spadł mi na kark proces familijny, mający się rozegrać w trybunale miasta X. Niewiele tedy zwłócząc, zebrałem trochę grosza i jechałem na sądy, pomny, że nierychło do dom powrócę. W drodze myślałem o tym i owym, a między innymi i o Franciszku, który jako miejscowy, według mego zdania, wielce mógłby mi ułatwić popychanie sprawy. Projekt ten klinem utkwiał mi w głowie, zaledwim więc przybył do hotelu w X. i trochę się ogarnął, wnet wyszedłem na miasto zachwycić języka o naszym krewniaku. Traf zdarzył, że zdybaliśmy się w cukierni. „Jak się masz” — „jak się masz” — „co robisz?” — „co robisz?” — daliśmy sobie trochę buzi, wypili i przegryźli niemało cukierniczego paskudztwa, pogadali o znajomych, westchnęli za nieboszczyków i uradzili na końcu, abym ja u Franciszka zamieszkał. Słowo się rzekło; nie tracąc zatem czasu, wpadliśmy do hotelu, łachy pod pachy i marsz do kwatery.

Tylkom wszedł, złapałem się za łeb: „O Chryste, ratuj grzesznika! — jęknąłem w duszy. — Czyste zburzenie Jerozolimy.”

Było cztery pokoje, dwa zamieszkałe, dwa puściuteńkie, aż cię strach zbierał, człowieku, kiedyś do nich wszedł. Podłoga jak święta ziemia, ściany i szyby haniebne, a jeżeliś stąpnął głośniej, echo gadało po kątach!

Gdzie Franuś popasał, było nieco ludniej i brudniej. Więc w jednej komnacie łożko nakształt karawana stół, na którym znalazłeś tytoń i cukier, książki i świecę. Na tem krzeselku ręcznik, na owem kamizelka, — na oknie samowar i para szklanek, na stołku miska. Obok pieca pod

prześcieradłem na ścianie wisiało coś; przekonałem się później, że to cała garderoba naszego kuzyna.

W pokoju drugim był kufer, paka, deską nakryta, i papierzysków jak w śmietniku; w całym zaś lokalu myszy po podłogach, a pluskwy i pająki po ścianach wielkie czyniły procesje.

Myślę sobie: „A tom wpadł!... jak Daniel do lwiej jamy, albo Jonasz do wielorybich wnętrzności” — i zrobiło mi się bardzo nijako.

Wkrótce przecież rozważa wzięła górę i zamiast desperować, jałem się porządkować. Więc pluskwy wyparzyłem, lokaja wyczubiłem, podłogę wyskrobałem, dziury pozalepiałem, oknam poodnawiał, sprzętów ponastawiał i w tydzień u siebie było mi jak w niebie. Rzekłem więc w duchu: teraz się, już biedzie nie dam, a może potrafię z niej i Franusia wykaraskać.

A na taką rzecz był czas niemały, bo któregośkolwiek zmysłu użył dla zebrania o tym mizeraku wiadomości, zawsze znalazł tylko jedno i jedno, oto: wielkie zaniedbanie w gospodarstwie, upadek na duchu, konfuzją w stosunkach z ludźmi.

Póki gadał o historii naturalnej, a ty zamrużone oczy miałeś — rosło ci serce z radości, tak płynnie i rozumnie odzywał się. Mówisz tedy: „Ej! to chłop niczego, ma głowę nie do pozłoty i język jak ś-ty Jan Złotousty!!” Ale jakieś oczy otworzył, wszystko ginęło, bo nie mogłeś przypuścić, żeby na takiej głowie rosły takie nieczesane włosy jak u niego, żeby taki piramidalny język obracał się w takiej chudej i rzadko mytej gębie. Surdut wisiał na nim jak ścierka na gwoździu, a spodnie? ach! biada rodzajowi męskiemu... Nosił przytem Franio kołnierzyki przedhistorycznej formy i wątpliwego koloru, i chustkę na szyi obwiązywał jak delikwent, którego (niech nie powiem w złą godzinę) za parę chwil do sznurka przyczepić mają.

On sam narzekał, oj, narzekał, a ludzie sobie kpili, oj, kpili! Nikt u niego nie bywał, on prawie u nikogo; konkurował o niejakaś pannę Zofję już niemłodą i niepiękną, ale ona odmówiła mu, twierdząc półgębkiem, że nie chce mieć męża brudasa. Ojciec jej też odradzał, gadając głośno, że nie chce zięcia odludka i półgłówka, u którego ani w preferansa zagrać nie można, ani kolacji dobrej nie dostanie. „Co mi djabli po jego rozumie (objaśniał mnie raz stary, gdyśmy się poznali), kiedy to ani do Boga, ani do ludzi. Pensją ma niezgorszą, 6.000 rocznie, a bieda w domu i nieład, a grzbiet goły, nogi bosa i kieszeń pusta. Przytem, widzisz acan dobrodziej, ta Dorota, jego praczka”... (tu mi się dziadziśko do ucha nachylił i coś niewyraźnie wyszeplecił, zębów mu bowiem brakowało).

Myślę — a cóż to znowu? co staremu do jakiej tam Doroty? Kto bieliznę pierze, ten pierze, aby tylko prał, na tem koniec. Ale że grzyb był pieniądze, miał dom i sad za miastem, gotowiznę w skrzynce pod łóżkiem, ścisnąłem go więc za rękę i rzekłem:

— No, nie gniewaj się jegomość dobrodziej, zmieni się to na lepsze i niedługo mieć będziemy wesele.

A ojciec na to:

— Dałby Bóg, mój acan dobrodziej, bo szkoda chłopca — serce jest, rozum jest, tylko ładu niema za grosz. A przytem, powiem acanu sub secreto, że mi dziewczynę swoim gadaniem o różnych rzeczach przyrodzonych trochę obałamucił i schnie mi mój piękny kwiatek, w mojej własnej posesji za warszawską rogatką, gdzie acana dobrodzieja codziennie na kwaśne mleko zapraszam.

Ucałowaliśmy się i rozeszli, — stary mruczając pacierze, a ja zachodząc w głowę, co tu począć!... Boć interes był dobry. Żona siaka taka, ale zawsze żona i kobiecisko niezłe; dom od siedmiu boleści, ale zawsze dom. „Ha! — mówię — trza coś zrobić” — i postanowiłem od tego jeszcze wieczora zacząć nawracanie Franusia.

Przed stanowczym atakiem, zastanowiłem się chwilę nad rodzajami i przyczynami klęsk naszego kuzyna, i otóż com dostrzegł bądź na drodze obserwacji osobistej, bądź rozpamiętywając opinie ludzkie o tym przedmiocie:

1-o. Franuś nie umiał się rządzić, a wskutek tego mimo znacznej płacy cierpiał niedostatek i doznawał masę przykrości drobnych, które jednak gnębią człowieka, np. biorąc koszulę, musiał związywać rękawy sznureczkiem lub do miasta posyłać po guziki, których brakowało. Siadając do roboty, musiał pierwiej pół godziny odszukiwać między papierami potrzebnych szpargałów. Pożyczając komuś pieniędzy, nie pytał, czy dłużnik jest w stanie zwrócić pożyczkę, a skutkiem tego doznawał zawodów i braków. Te drobne przeciwności, powtarzające się, gniewały go i humoru pozbawiały, lecz on, zamiast pomyśleć o przyczynie ich i sposobach usunięcia, narzekał na nieprzyjazne sobie losy i złą budowę świata.

2-o. Franuś nie znał form towarzyskich, nie zwracał uwagi ani na swoje postępowanie, ani na wymagania ludzkie, a skutkiem tego zjednał sobie opinią uczciwego półgłówka, — np. raz wypadły jego imieniny; — jaki taki wieszował mu, a on bez myśli zapraszał do siebie na wieczór. Nadszedł wieczór, z nim razem kilkanaście osób na ucztę, a Franuś tymczasem najspokojniej odczytywał sobie książkę. Szczęściem miał trochę pieniędzy, posłał więc po jedno i po drugie do cukierni i restauracji, i wydał około 20 rubli na przyjęcie; mimo to jednak trzeba było od sąsiadów pożyczać szklanek i filiżanek do herbaty, krzesel do siedzenia, trzeba było zamienić łóżko, kufer i pakę na kanapy i fotele i karmić biednych gości na brudnym nienakrytym stole. Licho szła zabawa, bo Franuś ciągle sobie coś przypominał, ciągle był przestraszony i kwaśny. Naśmieli się też z niego ludzie i drugi raz z wizytą nie przyszli. I w tym wypadku kuzyn nasz niechęć bliźnich przypisywał złej swojej doli, zamiast przypomnieć sobie, w jaki sposób inni przyjmują gości, a w jaki sposób on ich przyjmował!...

3-o. Franuś całe swoje mienie kładł prawie pod gołym niebem i służby nie pilnował, skutkiem czego był okradany i źle obsługiwany. Lokaj jego Kacper miał w mieście opinią łotra, a o pracze Dorocie ludzie gadali ze śmiechem i bardzo ogólnikowo. Wprawdzie ojciec panny Zofji (do której Franio cholewki smalił), opowiadał mi jakieś szczegóły, ale tak cicho i niewyraźnie, że nic a nic rozumieć nie mogłem, — mimo to jednak zmiarkowałem, że słudzy, a w szczególności Dorota, wielce szkodzą naszemu krewnemu.

4-o. Sam Franuś wyrzekał, że ludzie mu nie ufają, choć on nie jest kłamcą i że często prawie pod nosem śmieją się z niego, choć on nie jest głupi. Lecz jakże mu było ufać, kiedy biedak nigdy o obietnicach swoich nie pamiętał, jak się nie śmiać, kiedy skutkiem nieuwagi robił i gadał głupstwa. Raz np. składał inspektorowi szkół wizytę w rozpiętej kamizelce, drugi raz przy obiedzie serwetką nos ucierał i t. p. 5-o. Skutkiem tych wszystkich niedorzeczności nie miał szczęścia do kobiet, choć miał wielki pociąg do żeniaczki i wzdychał na wspomnienie panny Zofji.

Widzisz tedy, mój Michale, że niebadanie życia pociąga za sobą takie następstwa jak pierwszy lepszy występki: niebadający bowiem doznaje ustawicznych niepokojów, ma nieład w domu, antypatję u ludzi i dostaje arbuzy od panien i t. d. Sam teraz powiedz, czy nie mam racji zachęcać cię do podobnych badań i czy nie miałem racji skłaniać do nich Franusia? To też za ledwie przyszedłem do domu, zacząłem z kuzynem naszym taką rozmowę:

(Franuś leży na łóżku i czyta książkę).

JA

Dobry wieczór, Franiu! W tej chwili odprowadziłem ojca panny Zofji... *(Franuś kładzie książkę)*.... No! ale może ci przeszkadzam?

FRANUŚ

O nie, nie... owszem, owszem!...

JA
Mówiliśmy trochę o tobie...

FRANUŚ
Uuff!. *(nakłada fajkę)*.

JA. Trochę o panie Zofji...

FRANUŚ.
Uuhum! *(zapala fajkę)*.

JA
I gdybyś mnie nie wydał z sekretu, powiedziałbym, że radziliśmy również o waszym małżeństwie... *(Franuś kręci się na łóżku)*. No! ale może ci przeszkadzam?...

FRANUŚ
Owszem, owszem!... słucham, słucham!

JA
Powiedziałbym ci nawet, że niewiele do tego interesu brakuje *(Franuś otacza się kłębamii dymu)* i że uzupełnienie braków zależy od ciebie...

FRANUŚ *(zrywa się)*
Ode mnie?...

JA
Tak jest. I gdybyś chciał rad moich posłuchać i pewne reformy w sposobie życia swego wprowadzić, może za parę miesięcy tańcowałbym na twoim weselu *(Franuś szybko chodzi po pokoju)*. Cała trudność *zależy* od spełnienia kilku kobiecych wymagań, zresztą bardzo słusznych.

FRANUŚ
Owszem... gotów jestem wiele ustępstw zrobić... słucham! słucham... wiem, że jesteś zawołany kobieciarz i że rady twoje pod tym względem są szacowne...

JA *(rumieniąc się)*
Zawsze uwielbiałem płeć piękną, ośmielam się nawet twierdzić, że spełnianie i uprzedzanie wszelkich życzeń damskich stanowi moją specjalność...

FRANUŚ
Otóż właśnie wiedziałem o tem i dlatego chętnie wypełnię wszystkie rady szanownego kuzyna. Słucham, słucham!...

JA.
Panna Zofja i jej czcigodny ojciec uważają cię za człowieka uczciwego i rozumnego...

FRANUŚ (*rumieniąc się*)

Och!

JA

Zarzucają ci tylko parę błahostek, a przede wszystkim to,, że mało dbasz o swoje gospodarstwo i mało zważasz na ludzi!...

FRANUŚ (*wzruszony*)

Nic nie rozumiem?...

JA

Mało dbasz o siebie, ponieważ lichy ubierasz się, nieporządnie mieszkasz, a przytem więcej wydajesz od innych. Nie zważasz na ludzi, ponieważ nie starasz się zbliżyć do nich i nie utrzymujesz z nimi dobrych stosunków.

FRANUŚ (*zdziwiony siada na łóżko*).

A cóż to szkodzi panie Zofji, że nie jestem elegantem?...

JA

Nie chodzi tu o elegancję, ale o porządek. Pomyśl sam, czy zrobiłoby ci to satysfakcją, gdybyś zobaczył pannę Zofję w zabłoconej sukni i z roztarganą głową?...

FRANUŚ (*oburzony*)

Ach, co za myśl!... jakież porównanie!...

JA

Porównanie bardzo dobre, bo czem jest dla ciebie zabłocona suknia na panie Zofji, tem dla panny Zofji niewyczyszczony surdut na tobie... Dalej znowu, pomyśl, czy mógłbyś pannę Zofję, wyprowadziwszy ją z saloniku o froterowanej posadzce, umytych oknach, wprowadzić tu, gdzie jest podłoga brudna, w oknach pajęczyna zamiast firanek, a zamiast krzesel, kanap, fortepianu, stoją obrzydliwe paki, brudny stół i stłuczona miska?

FRANUŚ

No! ja przecież sam wiem o tem, że dla żony potrzeba innego mieszkania i innego ubrania, — że potrzeba sprzętów, gości i wieczorków... Ale dziś nie mam żony, niema więc racji zaprowadzać zmian tak kosztownych.

JA

A jeżeli panna Zofja bez tych zmian nie zechce wyjść za ciebie?

FRANUŚ (*wzruszony*)

A... a... jeżeli po tych zmianach nie zechce wyjść za mnie?...

JA

Daję ci słowo, że wyjdzie, tylko się zmień!...

FRANUŚ (*rozczulony ściska mnie za rękę*)

O kuzynie, Bóg... chciałem powiedzieć prawa natury... nie... chciałem powiedzieć, szczęśliwy wypadek sprowadził cię do mnie... Rozporządzaj mną, zrobię wszystko... byleby można... (*wzdycha*).
Dziwna rzecz, taka prosta i naturalna myśl nie przyszła mi do głowy!...

JA

Czy jesteś gotów dziś nawet zacząć reformę?...

FRANUŚ

Owszem!... owszem!...

JA

Więc zacznijmy od przeliczenia twojej garderoby i bielizny.

FRANUŚ

No!... przecież ja nie jestem praczką... zresztą nie widzę gwałtownej potrzeby, ponieważ wiem o wszystkim i bez rachunku...

JA

Zobaczmy. Ile też masz sztuk ubrania?...

FRANUŚ

Zaraz ci powiem... mam płaszcz, palto... frak urzędowy...

JA

A spodni, surdutów, kamizelek i butów?...

FRANUŚ (*namyśla się*)

Surdutów 4... nie... 3, bo jeden dałem Kacprowi. Spodni 5 par... nie, 4 pary, bo jedno dałem Kacprowi. No i 3 kamizelki...

JA

Przeliczmy też.

Zaczynamy szukać po kątach, liczyć, i otóż pokazuje się, że Franuś ma 3 surduty, 3 pary spodni i 2 kamizelki!...

JA

Więc spodnie i kamizelki zginęły?...

FRANUŚ (*zmieszany*)

Nie, to być nie może... Tak, gdzieś się podziały... może wziął Kacper na parę godzin, bo on czasem miewa swoje dziwactwa.

JA. Hum!. no, a butów ile też masz?... FRANUŚ (*myśli*). Dwie pary?... tak dwie pary, — jedną na nogach, drugą pod łóżkiem.

W istocie na Franiowych nogach była jedna para butów, ale drugiej ani pod łóżkiem, ani gdzie indziej nie znaleźliśmy. Widocznie i buty wziął Kacper, miewający swoje dziwactwa.

JA

A ile też masz sztuk bielizny?...

FRANUŚ

Od roku mam wszystkiego po 12 sztuk! O to jestem przynajmniej spokojny, że mi nie zginie, bo bielizna zostaje pod opieką Doroty, kobiety rzadkiej uczciwości... tak, rzadkiej!...

Liczymy bieliznę i okazuje się straszliwy bezład. Z 12 np. koszul zrobiło się tylko 5 w ciągu roku! a i z tych 5 dwie były cudze. Cóż mówić o chustkach, ręcznikach i t. d. Franuś okazuje wielkie zdziwienie i trwogę.

JA

Ot widzisz, Franiu, ta krótka obserwacja wykazała nam wiele ciekawych rzeczy. Naprzód, że jesteś kompletnie ubogi, powtóre, że źle robiłeś, nie dbając o swoje gospodarstwo i po trzecie, że masz w domu złodziei...

FRANUŚ (*zaperzony*)

Ależ zmiłuj się, kuzynie, nie mów tak! Być może że Kacper jest złodziej... ale Dorota... nigdy!... to kobieta zacna, z głową i sercem...

JA

Dość o niej gadają na mieście i stary sam oburzał się na to, że ona ci pierze bieliznę. Nie zrozumiałem tego, co mówił, ale teraz widzę jasno, że stary miał rację, bo Dorota oszukuje cię...

FRANUŚ (*silnie zarumieniony zapewne z gniewu*)

Stary, powiadasz? stary?... ojciec panny Zofji... Hum! trzeba służbę rozpędzić, ale bez dowodów?...

JA

Dowody już miałeś, licząc swój dobytek, mniejsza jednak o nie, ponieważ mogę dostarczyć ci nowych w ciągu tygodnia.

Franuś zgodził się na to, ja zaś, począwszy od dnia następnego, starałem się dowodzić mu, że go lokaj okrada, i tak:

Kuzyn nasz, jak ci mówiłem, nie zamykał ani cukru, ani herbaty, ani tytoniu, ani pieniędzy. Codzień tedy liczyliśmy pieniądze, wazyli cukier, tytoń i herbatę i przekonaliśmy się, że codzień coś ubywa. Nadto jednego dnia na surducie Franciszka zrobiłem plamę kredą, plama ta wciągu kilku dni na odzieży świeciła, a przecież Kacper twierdził, że czyści ubranie swego pana!... Był to więc niedobry służący, jak się z eksperymentów okazało, wygnał go też Franio w kilka dni po naszej rozmowie i przyjął innego.

Trudniejszą była sprawa z Dorotą, której Franio, zapewne przez szacunek dla płci białej, lękał się robić wyrzuty o złodziejstwo. Godzien radziłem mu, aby z nią skończył, Franuś codzień wahał się i odkładał do jutra. Wreszcie pewnego wieczora, gdy Dorota przyniosła kilka sztuk czystej bielizny, Franuś zdecydował się na stanowczą rozprawę. Nie lubię awantur w domu, wyniosłem się więc do

miasta podczas tej uroczystej chwili.

Konferencja trwała blisko godzinę.

Kiedym wrócił, spotkałem Dorotę, wychodzącą z naszego mieszkania. Spojrzała na mnie płomiennem okiem, domyśliłem się więc, że już wie, kto jest przyczyną jej upadku. Franciszka także zastałem niesłychanie zirytowanym: jego wzrok rzucał błyskawice, ręce mu drżały z gniewu.

— Naco się zdadzą uniesienia — rzekłem — mogłeś jej przecież toż samo z zimną krwią powiedzieć. Cóż, jużes się z nią obliczył?

— Tak... — odpowiedział nasz kuzyn. — Zirytowałem się trochę, mówiłem z nią dużo i bardzo energicznie, obiecałem, że na drugi raz wypędzę...

— Więc nie oddaliłeś jej?...

— No!... widzisz, biedna kobieta! Cóż będzie robić, jeżeli jej nagle wydrę ten oto lichesy kawałek chleba?...

W milczeniu uściśnąłem rękę Franciszka. To, com słyshał, dowodziło niepraktyczności, dowodziło jednak i tego, że kuzyn nasz miał serce i umiał przebaczać wyrządzone sobie krzywdy.

— Pięknę to jest, coś zrobił — rzekłem — albowiem powiedziano: „odpuść nam winy, jako i my naszym winowajcom odpuszczamy,” nie zapominaj jednak, że gdy się ożenisz, nie będziesz mógł tak łagodnie postępować ze służbą.

— A tak!... jest racja... — mruknął Pranul z odcieniem goryczy i legł na łóżko.

Ja zaś pomyślałem: „Mój Boże! musi to być dobre owo małżeństwo, kiedyś je postanowił, niemniej jednak zbliża ono człowieka bardziej do ziemi i stłumia niejedno szlachetne i bezinteresowne uniesienie. I czy taki Franciszek, ożeniwszy się, będzie mógł wspaniałomyślnie darować 9 zgubionych koszul?... O jakże szczęśliwy jestem, że będąc starym kawalerem, nie potrzebuję w sobie hamować idealniejszych popędów serca!...”

Zapomniałem ci dodać, że od rozmowy naszej o żeniaczce — w usposobieniu, postępowaniu i otoczeniu Franusia poczęły się objawiać zmiany. Jakoś w tym czasie odebrał pensję, kilku sumiennych wierzycieli odniosło mu należne pieniądze, resztę ode mnie wypożyczył i mając około 200 rsr. w kieszeni przystąpił do oporządzenia się. Bogiem a prawdą, nie napotykał w tym razie wielkich trudności, bo np. stolarz i krawiec, wzięwszy kilkadziesiąt rubli zaliczki, zakredytowali mu: jeden garnitur mebli, drugi dwa garnitury ubrania. Znalazło się i płótno na bieliznę i szwaczki, gospodarz przyciśnięty zgodził się odnowić mieszkanie i odnowił je rzeczywiście. Znalazły się i franki w oknie i parę doniczek kwiatów i dywanik nad łóżkiem, serweta na stole i sukno na świeżo zafroterowanej podłodze! Nowy też służący okazał się pilniejszym i uczciwszym od Kacpra, bo też Franuś począł uważniej i jego i siebie dozorować.

Często rozmawialiśmy wieczorami o wypadkach dnia całego, o ludziach, ich stosunkach, przymiotach i wadach; dyskursy te zbawiennie wpływały na Franciszka, który przypominał sobie niejednen własny wybryk i odtąd pilniej uważał na swoje postępowanie. To też zmieniał się szybko, prawie co dzień i godzinę; znać było wprawdzie w jego rozmowie, ubraniu, chodzeniu jakiś przymus i sztukę, które stopniowo zmniejszały się, lecz zato nie było już wybryków, pochodzących z dziwactwa lub roztargnienia.

Ludzie, zwyczajnie jak ludzie, widząc te niemal cudowne zmiany w życiu naszego kuzyna, z początku śmieli się, potem dziwili, zawiązywali z Franusiem stosunki, oglądali jego mieszkanie i garderobę. Aż wkońcu nadeszła oczekiwana przeze mnie chwila i gruchnęło po mieście, że Franuś żeni się!...

Pogłoski te, rozumie się doszły do nas, doszły i do folwarku za warszawską rogatką. Franuś od czasu arbuza, nie składał wizyt pannie Zofji; uważałem jednak, że spotkawszy go na ulicy, w epoce

reformy i pogłosek, o których mówię, panna rumieniła się coraz częściej i silniej. Myślę tedy, dobry znak i znowu zetknąwszy się z jej ojcem, począłem opinią staruszka w kwestji małżeństwa sondować, ale stary nie w ciemię bity, zbył mnie krótko, mówiąc:

— Mój acan dobrodziej, wiem ja, co się święci. Widzę, że kuzyn twój za Bożą łaską i twoją pomocą poprawia się i porządkuje, znaczy więc, że już wszedł na dobrą drogę. Z tem wszystkim jednak powiem ci otwarcie, że dotąd nie obejrzę jego nowego mieszkania, dokąd w nim Dorota gospodarować będzie. Ot co jest!

Zgłupiałem na takie dictum, nie tajno mi było bowiem, że łagodny Franuś nie zechce Doroty pozbawić kawałka chleba. Mruknąwszy więc staremu ni to, ni owo — poszedłem smutny ku domowi, nic nie przeczuwając, że nowy, niepojęty kaprys naszego kuzyna jeszcze w tym dniu miał ostatnią usunąć przeszkodę do małżeństwa.

W drodze spotkaliśmy się z Franciszkiem, a że wieczór był ładny, pochodziliśmy trochę za miastem i około 9 już na dobre zawrócili do kwatery.

Dochodząc do mieszkania, ze zdziwieniem ujrzałem światło w pokoju Franciszka i zapytałem go:

— Czy uważasz, że się świeci w oknach... Co to być może?

— Ach to pewnie Dorota odniosła mi tak późno bieliznę.

Copravda, lepiej późno niż nigdy, boć to przecież jutro mamy niedzielę.

Nic już nie mówiąc, weszliśmy do mieszkania, lecz o dziwy!... Franuś, który szedł pierwszy, za ledwie drzwi od pokoju otworzył, krzyknął przeraźliwie:

— Co to jest!... co to znaczy!... w moim domu Dorota z człowiekiem... tak... z człowiekiem orężnym, to jest z mężczyzną uzbrojonym!?!...

— Proszę łaski pana — pytowała Dorota — to my z bratem przyszlim odnieść bieliznę...

Spojrzałem. Na środku pokoju stał wyprostowany olbrzymiego wzrostu dragon. Próżno jednak dopatrywałem przy nim oręża; widocznie kuzyn nasz przez prędkość poczytał za uzbrojenie wielkie cynowe guziki i zardzewiałe ostrogi ładnie zbudowanego wojownika.

— Kto jesteś, łotrze! — groźnie zawołał Franuś, przyskakując do dragona.

— To mój brat... mój brat... — pytowała już płaczącym głosem Dorota.

— Tymachwiej Tymachwiejewicz Dudakow, pierwawo pierwawo eskadrona, dragunskawo półka... — rekomendował się tak po grubjańsku napadnięty kawalerzysta, ale nie dano mu skończyć:

— Jej brat!... jej brat!... ha! ha!... Jej bratem człowiek, nie znający tutejszokrajowego języka!... — wołał nawet w gniewie lojalny Franuś.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której Franuś biegał po pokoju jak opętaniec, dragon stał na środku według prawideł obowiązujących wszystkie lądowe i morskie armje całego świata. Dorota zaś roniła łzy gorzkie, rysując na stole wskazującym palcem lewej ręki, jakieś niezdecydowane figury. Wreszcie kuzyn nasz znowu wybuchnął:

— Cóżto? jeszcze stoicie oboje?... jeszcze?... won z mego domu i ty i ty, albo... was skopię nogami!...

Mimowoli porównywałem kolosalne buty słusznego jeźdźca z całą osobą naszego kuzyna i przeląknęłem się straszliwych następstw tak energicznie zapowiedzianej utarczki. Szczęściem, Dorota szybko wybiegła z pokoju, a za nią, zrobiwszy w lewo pół obrotu według prawideł obowiązujących, wyszedł i dragon, zwyczajem całej kawalerji chwiejąc się na obie strony. Franuś dzikie za odchodzącymi rzucił spojrzenie i przez zaciśnięte zęby wycodził:

— Łotr!... komunista!...

Do dziś dnia pojąć nie mogę, jakim sposobem na tchnącym pogodą i regulaminem obliczu ładnie zbudowanego dragona dostrzegł nasz kuzyn niebezpieczne cechy komunizmu, tak niezgodnego z

duchem wszystkich paragrafów, we wszystkich wojskowych kodeksach. A przytem skąd ta nagła niechęć do militarystyki, obok tak silnie rozwiniętych instynktów wojskowych?... Doprawdy, głowę straciłoby można, rozstrzygając podobne tajemnice natury ludzkiej!

W taki to niespodziewany, a tragiczny sposób zakończyła się służba Doroty u Franusia, któremu odtąd nic już nie przeszkadzało stoczyć się na dno matrymonjalnej przepaści, tyle co rok pochłaniającej ofiar! Nie będą ci opisywał, ani naszej pierwszej wizyty u panny Zofji i jej szanownego ojca, ani oględzin, dokonanych przez tego ostatniego w mieszkaniu Franusia, ani oświadczyn... Pominę również niepokój, jakiego kuzyn nasz doświadczał wyjeżdżając do ślubu, o tem bowiem z osobistego doświadczenia najlepiej się przekonasz; nie mogę jednak nie wspomnieć o zdarzeniu, które mi wyjaśniło poniekąd nagłe wypędzenie Doroty.

Po ślubie i krótkiej a rzewnej i do okoliczności zastosowanej mówce pewnego duchownego, wracając do domu na weselne gody, siedliśmy do powozu we czworo: panna Zofja, jej czcigodny ojciec, Franus i ja. Franus, jak przyzwoitość nakazywała, siadał ostatni, lecz zaledwie postawił nogę na stopniu, cofnął się tak gwałtownie, że o mały nie upadł na ziemię.

— Co ci się stało, Franiu!... — krzyknęła jego druga połowa, szczerze interesująca się organizmem swego ukochanego.

— Eh, nic! drobnostka... to dragon!... — szepnął wzruszony nowożeniec.

W tej chwili po drugiej stronie już ruszającego powozu, dostrzegłem znanego ci kawalerzystę, który zdawał się być silnie zajęty wykonywaniem jakiejś zuchwałej i nieprzyzwoitej pantominy, widocznie do naszego towarzystwa skierowanej.

— Więc nie lubisz dragonów? — spytała ze zdziwieniem panna Zofja Franciszka.

— O tak... nienawidzę ich!... — mruknął nasz kuzyn.

— To wszystko są łotry — wtrącił stary. — Na wsi przy nich nie upilnujesz ani kury, ani gęsi, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jego jest!...

— Czy dlatego ich nienawidzisz mój Franiu? — znowu zapytała oblubienica.

— Nie... nie dlatego — mówił bardzo wzruszony, zapewne szczęściem swoim Franiu — ale... bo widzisz, dragoni jednego z moich dziadków zabili!...

O ile pamiętam, nie słyszałem, ażeby się który z naszych dziadków na podobne przygody narażał.

— Może twego rodzzonego dziadka? — tkliwie wyszeptła nasza nowa kuzynka.

— O nie!... Boże uchwaj!... to jednego z ciotecznych dziadków.

W oczach oblubienicy łzy zabłyśły; pochyliła się do ucha mego kuzyna i załkała.

— Dobrym mężem będziesz, Franiu, kiedy tak pamiętasz o swoich ciotecznych dziadkach!... — Poczem nastąpiło gorące uściśnienie ręki z obu stron, ja zaś na moim odcisku uczułem parcie obcasa panny Zofji, widocznie nie dla mnie przeznaczone i pomyślałem:

Mój Boże! jak ta miłość stara się eksploatować wszelkie okoliczności na swój rachunek! I któżby się spodziewał, że niechęć Frania do wojskowych niższych stopni stanie się punktem wyjścia dla tkliwej pieśczoły ze strony panny młodej? Ja wprawdzie nie słyszałem o dziadku, zabitym przez dragonów, jeżeli jednak podobny wypadek stanowi dla naszego kuzyna jeden z artykułów wiary, to nie dziwię się ani temu, że wypędził z domu Dorotę z jeźdźcem, ani temu, że go panna Zofja uściskała.

Na tem mógłbym zakończyć pełne przygód dzieje Franciszka, sumienność jednak i afekt familijny zmuszają mnie do niektórych uzupełnień.

Wkrótce po weselu naszego kuzyna skończył się mój proces i ja nie bez żalu musiałem z X. wyjeżdżać. Od tej chwili zaczęło się moje tułactwo po świecie. Gdziekolwiek byłem, com widział i czego doświadczył, może ci innym razem opowiem; dość, że dopiero po 10 latach zobaczyłem

znowu miasto X. i folwark za warszawską rogatką, skąd przez cały czas moich wędrówek żadnej nie miałem wiadomości.

Dziwne jakieś uczucie ogarnęło mnie na widok tej oazy, gdzie mieszkali ludzie, którym bądź co bądź zrobiłem dobrze... Czy wszyscy żyją jeszcze?... co się tu dzieje?!... oto pytanie, jakie zadawałem sobie, dojeżdżając...

Było lato. Zaledwem wysiadł z pocztowej bryki, dostrzegłem ciągnięty przez siwego jak gołąb staruszka wózek, w którym dwoje małych dzieci siedziało. Przypatruję się pilnie... Tak, to on, ojciec byłej panny Zofji, a teść Franciszka! Poznaliśmy się odrazu i wpadłszy sobie z krzykiem w objęcia, zapłakaliśmy jak dwa bobry.

Po tkliwym powitaniu zapytałem staruszkę:

— Cóżto, jegomość dobrodzieju już wnuki obwozi po świecie? Czy to bliźnięta?...

— A bliźnięta! mój acan dobrodzieju — wyseplecił starowina. — Przypatrz się im dobrze, jakie to podobne bestyjstwo, jak dwie krople wody! Jeden starszy od drugiego o 10 minut, ot ten, co ma kokardę szafirową, to Jan Kanty — starszy, a ten, co ma niebieską, to Jan Nepomucyn — młodszy.

— Dobrzeście zrobili, przypinając im te kokardy — rzekłem — bo inaczej chybaby ich rodzona matka nie poznała!

— Ba! mój acan dobrodzieju, tak też i było nawet. Jednego razu pogubili kokardki na spacerze i ani rusz ich poznać. Wołasz... Jasiu!... idą obaj. Szukasz znamienia, obaj mają jednakowe, w formie gruszki na... (tu mi dziadek coś do ucha szepnął). Pytamy się niańki — nie poznaje, wołamy matki, a ta w krzyk!... Dopiero Franuś wywiódł nas z kłopotu, zważywszy obu, bo widzisz acan dobrodzieju ten niebieski waży 17 łutów więcej od szafirowego, choć młodszy... tak młodszy o 10 minut!... No, ale wejdźmyż do domu — ciągnął starzec. — Hej!... jest tam kto? znieście rzeczy pana!...

Na to wołanie ukazała się jakaś kobieta, widocznie piastunka, a przy niej dwu chłopczyków, może sześcioletnich i znowu niesłychanie podobnych do siebie.

— Czy i to bliźnięta, dziadku? — pytam już trochę zdziwiony.

— A tak, bliźnięta. Ten oto z kokardą ciemno-zieloną, to Maciej, o 3 minuty starszy od tego z jasno-zielonym fontaziem, od Mateusza. Przed dwoma laty jeden zgubił kokardę i wziął braterską; jak zaczęli opowiadać i objaśniać, tak wszyscy potraciliśmy głowy, bo w dodatku chłopaki mylą się co do swoich imion. Co tu robić, jak tu poznać? zachodziliśmy w głowy, bo i znaki szczególne mają jednakowe: płomyk w formie baraniego rogu na... (tu mi stary szepnął coś do ucha). Jednym wyrazem był kłopot niemały, na szczęście jednak Franuś przypomniał sobie, że Maciej bał się jednego urzędnika, a Mateusz go lubił; trzeba jednak zdarzenia, że urzędnika przenieśli do innej miejscowości. I cóż powiesz? musieliśmy o 15 mil dzieciska dla sprawdzenia wozic i przez dwa tygodnie zgryzoty się najeść! Ach! Boże, daj świętą cierpliwość!...

Tymczasem ukazała się i pani domu bez męża, bo Franuś o tej porze drzemał i nie lubił, aby go budzono. Utyła, wyładniała kobiecisko i szczerze przywitała się ze mną, swoim swatem.

— A, kochany kuzyn!... a jakżem szczęśliwa!... żeś też o nas nie zapomniał po tylu leciech!... — i tak wykrzykując, rzewnie płakała.

Uściskałem ją i ucałowałem, a w trakcie tego nadeszła i trzecia para bliźniąt w wieku lat dziewięciu. Zdumiałem na ten widok, matka westchnęła, a dziadek ręką kiwnąwszy, rzekł:

— Z temi mamy największe zmartwienie, bo nie wiemy, który z nich starszy, a który młodszy, który Piotr, a który Paweł! Różnica ich wieku wynosi 8 minut; do piątego roku nosili kokardy, jeden różową, drugi amarantową, ale imion ich nikt na pewno nie wiedział, tem więcej oni sami. Trafiło się, że poczęli raz zamieniać między sobą kokardy, wreszcie pomieszało się im w głowinach i z płaczem przyszli do matki. Nieszczęście chciało, że różowy miał tego dnia dostać od ojca wnyki, oba

więc przyznawali się do amarantowego koloru i to jeszcze bardziej zaplątało sprawę. Próbowaliśmy wszystkich środków, ale wszystko nanie, bo i te dzieci mają znaki szczególne jednakowe, po 6 palców u prawej nogi. Przyszło wtedy ojcu na myśl, że amarantowy lubił świeże poziomki, a różowy ich nie lubił; że to jednak była zima, a sok i suszone poziomki jedli obaj jak najęci, trzeba więc było sprawdzenie odłożyć do wiosny. I cóż powiesz, moje serce? nadeszła wiosna, ale obaj chłopcy tak się przyzwyczaili do soków i suszków, że potem jedli świeże poziomki bez różnicy w apetycie, a przez te kilka miesięcy niepewności doreszty zapomnieliśmy o różnicy między nimi!...

Tu umilkł dziadek głęboko wzruszony, a kuzynka Zofja dodała:

— Dzięki Bogu, że Franio rozstrzygnął wątpliwość przynajmniej co do tych czterech młodszych, inaczej dopiero mielibyśmy w domu Sodomę i Gomorę!...

A na to wchodzący Franuś rzekł:

— Tobiem winien, kuzynie, i tę oto żonę kochaną i te skarby moje i to nareszcie, zem po dwakroć zdołał tak ważne sprawy rodzinne rozwikłać. Tyś mi bowiem pokazał drogę do badań życia codziennego i odtąd zwracam uwagę nie tylko na ubranie, rozmowę i postępowanie człowieka, ale nato: ile waży, jaki ma wzrost i upodobania. Dzieci moje — dodał ze łzami, zwracając się do trzech par otaczających nas bliźniąt, — oto wasz wujaszek; upadnijcie mu do nóg na powitanie, bo gdyby nie on, to... to... wy zapewne nie oglądałybyście bożego świata!...

Przy tej części mowy naszego kuzyna zrobił się w domu ogromny lament, w którym i ja czynny przyjąłem udział; poczem udaliśmy się na przekąskę.

Cóż ci mam mówić więcej o Franciszku? chyba to, że był szczęśliwy i jego rodzina przy nim, że zawsze uwielbiał swoją żonę i był od niej nawzajem wielbiony. Raz, siedząc na ganku z nimi i przypatrując się igrzyskom dziatwy, która mnie już nudzić zaczynała, zwróciłem uwagę, że na stodole znajdują się aż dwa gniazda bocianie i rzekłem:

— Pomyślcie-no, moi państwo, czyby to już nie czas wypędzić bociany z folwarku, bo za drugie dziesięć lat, chyba już naprawdę rady sobie nie dacie z konsolacją?...

Na to małżonkowie nie odpowiedzieli mi nic, ale Franuś puścił taki kłęb dymu z fajki, a pani Zofja tak prędko zaczęła robić pończoszkę, że mi się już odechciało na drugi raz zaczepiać podobnych kwestyj.

Każdy z nas w tem życiu doczesnem stawia sobie jakieś plany, stara się o jakieś rezultaty, zależne od pozycji, zajmowanej w społeczeństwie, od ukształcenia, charakteru, środków, jakimi rozporządza i t. d. Jeżeli jesteś obywatelem ziemskim, myślisz o tem, w jaki sposób uniknąć subhastacji, jak wykręcić się z procesu, gdzie pojechać na polowanie, a gdzie na bezika? Gdy jesteś podpasieczem, myślisz jak zostać pastuchem, później fornalem, a czasem może i szynk na własną rękę założyć? Będąc literatem, zastanawiasz się, co wypisać z tej, a co z owej książki, w jaki sposób od redaktora wytumanić zgóry pieniądze na rachunek pracy, o której nie miałeś i nie masz pojęcia?

Będąc niezamożnym studentem, rozważasz od kogoby pożyczyć pieniędzy, gdzie znaleźć kredyt na obiady, czy sprzedać, czy też zastawić palto i mundur, jak wykpić się na egzaminie i t. d., i t. d.

Wszystkie te rezultaty zależą od pewnych przyczyn, które trzeba znać dobrze, aby nimi kierować, tem więcej, że ich jest częstokroć bardzo wiele, i że do tych samych wyników różnemi można dojść drogami. Gdy chcesz np. zjeść obiad, niekoniecznie musisz iść do restauracji z dwuzłotówką w kieszeni, bynajmniej! Możesz jadło dostać na kredyt, umizgając się do gospodyni lub jej córeczki, chichotając z usługującymi dziewczętami, ściskając markierów za rękę. Nikt ci również nie zabroni w ostateczności złożyć wizytę jakiejś znajomej familji, w czasie antraktu chwalić dzieci, sprzęty, psy, kwiaty, podziwiać rozum pana, uwielbiać piękność pani domu, a wszystko na rachunek posiłku.

Lecz, o synu mojej siostry! skądże się dowiesz o tem wszystkim, gdzie nabierzesz wprawy, jeżeli zechcesz unikać ludzi, zamykać oczy i uszy na ich słowa i postęпки i grzebać nadal w książkach, nie mających żadnego związku z życiem?...

Sztuka zabijania czasu, zawracania głów kucharkom i szwaczkom, pożyczania pieniędzy, zjadania obiadów na kredyt lub darmo, zjedwania sobie opinii uczonego, uczciwego, lub dowcipnego człowieka, stanowią ogólne ukształcenie światowe. Jest jednak i specjalne, przywiązane do pewnego stanowiska, a mające na celu wyciągnąć wszelkie korzyści i uniknąć wszelkich przykrości, jakie owo stanowisko nadržcza. I ten rodzaj ukształcenia tylko na drodze obserwacji uzyskać można.

Jeżeli więc jesteś aplikantem, dowiaduj się, jakim sposobem inni zostali kancelistami, a za co ich wypędzono z biura. Jeżeli jesteś obywatelem ziemskim, badaj, dlaczego podobne tobie indywidua zyskują lub tracą majątki. Jeżeli jesteś studentem, wypytuj się innych, na jakiej drodze znaleźli korepetycję, uwolnienie od wpisu, lub pożyczkę?

Do wykonywania wszystkich operacyj życiowych potrzebne są pewne okoliczności, pewne uzdolnienia i wprawa, pewne środki. Do wizyt trzeba jakiegoś interesu, odpowiedniego garnituru i pewnej biegłości w przelewaniu z pustego w próżne. Do nauki potrzeba zamiłowania lub nadziei zysku, książek, czasu i wiadomości przygotowawczych. Krótko mówiąc, całe życie nasze składa się z wielkiej liczby niby równań niewyznaczonych, w których po prawej ręce znajdują się rezultaty, po lewej ilości zmienne w postaci człowieka, zajmującego się ich rozwiązywaniem, jego środków, rozumu, serca, pragnień, nałogów, wad, przymiotów — wreszcie w postaci ludzi i wypadków, otaczających jednostkę główną.

Starajże się, mój kochany, poznać te równania odnośnie do ciebie samego, staraj się poznać ich elementa, badaj między nimi związki, a wszystko na drodze chłodnej obserwacji, porównywania siebie z innymi ludźmi, porównywania dnia dzisiejszego ze wczorajszym i onegdajszym.

Wielką ci w tej pracy usługę odda dziennik systematycznie ułożony i porządnie prowadzony, w którym na właściwym miejscu powinieneś mieć spis twoich ruchomości, stosunków, celów, obowiązków; notatki, dotyczące wydatków bieżących, zobowiązań, przeczytanych książek, pragnień, przykrości, przyjemności, a w końcu uwagi nad życiem. Takie rachunki wykonywaj codzień, odczytuj co tydzień, co miesiąc, wreszcie co rok, nigdy nie spuszczaaj z uwagi tego, co się dzieje w tobie i około ciebie, a wówczas przekonasz się, że życiem kierują niewzruszone, nieugięte prawa. *Dura lex, sed lex!*...

Przygotowano na podstawie bookini.pl